Z Dzikowa do Montrealu. Powojenne losy rodu Tarnowskich.

Marcin hr Tarnowski, Montreal 2008 r., fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka.

Marcin Tarnowski

Urodziłem się w Dzikowie w 1935 roku. W 1939 roku wyjechaliśmy na parę tygodni do Klemensowa, do Zamoyskich – rodziny mojej matki. Gdy zaczęła się wojna, przypadkiem okazało się, że jeden z wysokich rangą generałów niemieckich w Zamościu, dobrze znał rodzinę mojego dziadka. Dał nam więc autobus z eskortą i zostaliśmy ewakuowani do Dzikowa. Dostaliśmy do użytku niewielką część zamku, resztę zajęli Niemcy. W Dzikowie mieszkaliśmy do 1944 roku. Koniec wojny przeżyliśmy w Ojcowie pod Krakowem.

Gdy skończyła się wojna wszędzie panował bałagan, nie wiadomo było gdzie szukać rodziny, nie znaliśmy ich losów. Nie wiedzieliśmy, że nasz ojciec w międzyczasie przeszedł na piechotę prawie pół Niemiec, bo gdy front się przenosił, przerzucano jeńców z oflagu od obozu do obozu, coraz bardziej na zachód. Ale po wstąpieniu do I dywizji pancernej gen. Maczka, zaczął nas szukać. Przypuszczaliśmy, że ojciec będzie nas szukał w okolicach Dzikowa. Z Ojcowa więc na jesieni 1945 roku przenieśliśmy się do Sandomierza. Nie mogliśmy wrócić do Dzikowa, nie było nam wolno. Mieszkaliśmy więc w jakimś domu w Sandomierzu, gdzie dokładnie, nie pamiętam, ale wiem, że budynek przylegał do kościoła św. Jakuba. Suterenami można było przejść do zakrystii. Z naszego domu widać było w dole Wisłę, hen daleko, daleko. Wyobrażaliśmy sobie, że widzimy Dzików, bo pamiętaliśmy, jak w odwrotną stronę z zamkowej wieży widać było Sandomierz. W Sandomierzu zaczęliśmy chodzić do szkoły. Co jakiś czas chłopi po kryjomu podrzucali nam prowiant z majątku.

Pewnego dnia dostaliśmy wiadomość, że ojciec nie wraca do Polski. Przenieśliśmy się więc do Krakowa, a stamtąd matka próbowała na wszelkie sposoby zorganizować nam wyjazd. Wreszcie złapała „zielony transport”. Ja wówczas zachorowałem na odrę, musieliśmy się więc podzielić. Najpierw pojechało starsze rodzeństwo, Maria i Jan (w marcu 1946 r,), a potem mama ze mną i młodszym bratem – Pawłem (w maju). Z Krakowa dostaliśmy się przez Cieszyn i Pragę do Norymbergi. Tam przyjechał po nas kolega ojca i zabrał do Meppen. Mieszkaliśmy razem parę miesięcy, a potem na 5 lat przenieśliśmy się do Brukseli.

Znów chodziliśmy do szkoły, ale mnie coś nie szło z językiem flamandzkim, wciąż oblewałem i musiałem być przenoszony. W Belgii mój ojciec miał dużo znajomych, kończył Uniwersytet pod Brukselą, wydawało się więc, że będziemy mogli tam sobie

ułożyć życie. Ale w tych czasach na przełomie lat 40. i 50. w Europie Zachodniej bardzo trudno było o pracę, a szczególnie dla młodych przyszłość nie rysowała się optymistycznie. Dlatego ojciec z matką zdecydowali, że lepiej się przenieść tam, gdzie młodzi będą mieli jakieś perspektywy. Wybrali Kanadę, bo tam łatwiej można było dostać wizę.

Podróż odbywała się małymi statkami, które przewoziły dawniej wojsko, a teraz zostały przystosowane do przewozu emigrantów. Podróż trzeba było odpracować, pamiętam, że my pracowaliśmy w kuchni. Wylądowaliśmy w Halifaxie w Nowej Szkocji. Mieliśmy dalej jechać na zachód Kanady pracować na farmie (ojciec przez jakiś czas pracował na farmie i zbierał kartofle). Ale w końcu zatrzymaliśmy się w Montrealu. Rodzice mieli tu znajomych i krewnych, łatwiej było więc jakoś się zaczepić i zacząć życie w nowym miejscu. Był tu krewny Władzio Tyszkiewicz, u którego zatrzymaliśmy się na parę dni, potem była P. Maria Pinińska oraz P. Dresher, którzy bardzo pomagali ojcu.

Dwóch braci, Jan A. (z lewej) i Paweł (z prawej) Tarnowscy na tle kominka w Wielkiej Sali zamku z obrazem Dziadka Zdzisława hr. Tarnowskiego wiszący nad nimi, fot. arch. Marcina Tarnowskiego.

Znów zaczęliśmy chodzić do szkoły. Ja i mój młodszy brat Paweł poszliśmy od razu

do college'u. Starsze rodzeństwo musiało pójść do pracy. Rodzice natomiast pracy nie mogli znaleźć. Gdy ojciec powiedział, że ma dwa dyplomy (szkołę handlową i rolnictwo), to człowiek, który go przyjmował, podniósł się z miejsca i oznajmił – ja panu mojej posady nie oddam. Tak więc nie tylko, że było mało miejsc pracy, to trzeba tu było mieć lokalne przygotowanie, znać realia itd. Ojciec więc się zdecydował na jakąkolwiek pracę i poszedł sprzedawać dywany, w dużym sklepie, który wówczas nazywał się Morgan. I sprzedawał je aż do emerytury, na którą przeszedł kilkanaście lat później.

Matka nauczyła się kreślić. Przez jakiś czas pracowała w fabryce samolotów jako kreślarka. Potem pracowała w biurze inżynierskim, które, o ile dobrze pamiętam, robiło m. in. przeróbkę Polskiego Konsulatu w Montrealu. No, a my, młodsi, raz się uczyliśmy, raz nie, zmienialiśmy szkoły, różnie to bywało. Ja nawet w pewnym momencie uciekłem z domu.

Starszy brat Jaś pojechał na zachód Kanady i tam spotkał się z wujem Czartoryskim, mężem siostry mojej matki Anny Zamojskiej. I razem pojechali „szukać skarbów". Od 1953 czy 54 roku poszukiwał najpierw uranu, potem złota, potem nafty. Pracował w Kanadzie i poza nią – w Stanach, Ameryce Południowej, w Afryce, Azji, nawet w Nepalu. Nadzorował całe ekipy. Był od tego ekspertem. Ożenił się z Rumunką z pochodzenia, ma trzy córki, które założyły swoje rodziny. W latach 90., gdy zmienił się ustrój w Polsce, wrócił do Polski i zamieszkał w Warszawie. Zajął się walką o scalenie dzikowskich zbiorów, zaczął wytaczać sprawy i porządkować rodzinne dziedzictwo. W międzyczasie urodziły mu się dwie następne córki i po raz drugi się ożenił, z prawniczką.

Moja starsza siostra pierwsza z nas wyszła za mąż za Zdzisława Kryzana, adwokata z poznańskich okolic. Poznali się jeszcze w Belgii, potem on przyjechał do niej do Kanady.

Jan A. Tarnowski z siostrą Marią Kryzan na tle szaf archiwum, w najstarszej części zamku, która się nie spaliła w czasie pożaru w 1927 r, fot. arch. Marcina Tarnowskiego.

Mój najmłodszy brat Paweł ożenił się z Kanadyjką, Yolandą i teraz mieszkają Ottawie. Mają dwoje dzieci, i obydwoje są na emeryturze.

Ja, po skończeniu college'u poszedłem na Uniwersytet. Zrobiłem to dla ojca, bo koniecznie chciał, żebym został inżynierem. Ale mnie to zupełnie nie pasowało. Zaliczyłem jeden rok i poszedłem do lotnictwa. Marzyło mi się zostać pilotem, ale zostałem nawigatorem. No i spędziłem część życia w lotnictwie, latałem w tę i z powrotem po Kanadzie, po Stanach. Mam ponad 4 tysiące godzin zaliczonych w powietrzu.

W międzyczasie się ożeniłem. Byłem jedynym z braci, który ożenił się z Polką. Elżbieta była córką majora Rodziewicza, zamordowanego w Starobielsku. Urodziła się w 1940 roku i ojca nigdy nie poznała. Zabawne, bo jej ojciec i mój ojciec, byli przed wojną w tym samym 8 Pułku Ułanów księcia Józefa Poniatowskiego. Nie znali się bezpośrednio, ale wiedzieli o sobie. Mój ojciec był rezerwistą, a jej ojciec w służbie czynnej.

Mamy czwórkę dzieci – córkę i trzech synów. Po 11-tu latach coś jednak nie grało między nami i rozeszliśmy się. Od tego czasu, oboje żyjemy samotnie, widując się

często razem z dziećmi i dzięki Bogu teraz jesteśmy w bardzo dobrej komitywie.

Córka Krysia mieszka w Stanach, ma trzech synów. Na zjeździe w Dzikowie w 2000 roku była Elżbieta z trzema synami. Synowie założyli rodziny, mają też dzieci. Tak więc mam dziewięcioro wnucząt, z przewag chłopców.

Czy któreś z dzieci chce się włączyć w odzyskanie Dzikowa? Nie wiem.

Może najbardziej Michał, mój średni syn, który mieszka pod Ottawą. On pierwszy z braci się ożenił, tak więc jego dzieci są już bardziej samodzielne. Jego żona, mimo, że nie jest Polką, była w Polsce i pozytywnie odbiera naszą tradycję. Dzieci także. Michał zajmuje się stroną internetową Związku Rodu Tarnowskich. Wraz ze swoją matką, Elżbietą pojechał na pogrzeb swojej babki, Róży do Dzikowa w 2005 roku. Bardzo był całą ceremonią przejęty, a szczególnie sprowadzeniem prochów Babci do krypty Tarnowskich pod kościołem oo. Dominikanów w Tarnobrzegu .

Dzieci mówią po polsku, ale żadne nie jest w polskim środowisku. Próbuję dzieciom tłumaczyć, przekazać wiedzę o rodzinie, założyliśmy Związek i mam więc nadzieję, że coś z tego wyniknie. Ale co dalej będzie? Czas pokaże.

Obraz Matki Boskiej Dzikowskiej w kościele oo Dominikanów ufundowanym w XVII w.przez Tarnowskich w Tarnobrzegu.

Rozmowa odbyła się w 2008 roku. Rozmawiała Joanna Sokołowska-Gwizdka. Marcin Tarnowski zmarł w 2009 roku.